



NAJSZTUB PYTA



ANNĘ DYMNA

Jak zabijać na scenie, rozpaść się w życiu, posklejać się na podłodze i po 55 latach zobaczyć hipopotama na wolności – opowiada Anna Dymna.



Dobroczyńcy

PIOTR NAJSZTUB: Kości pani ostatnio stwardniały o 3 proc. Czy to wpływ bycia dobroczynnym?

ANNA DYMNA: Rzeczywiście, zrobiłam sobie badania gęstości kości, stwardniały o 3 proc., więc zaśmiałam się, że to przez to, że robię trudne rzeczy i muszę być twarda.

Więc można leczyć osteoporozę dobroczynnością. Czyli czym?

Dobroczyńność uczy człowieka życia, choć czasem nie wiem, czy chciałam to wszystko o życiu wiedzieć.

Uczy życia czy życia innych, chorych, ludzi?

Zaprzysiężniłam się z ludźmi niepełnosprawnymi intelektualnie i to jest uniwersytet życia. Mam bliski kontakt z ludźmi cierpiącymi, chorymi, niepełnosprawnymi i oni odkryli

przede mną takie przestrzenie życia ludzkiego, o których nie miałam pojęcia.

Jakie?

Musiałam na przykład się zastanowić, jaki sens może mieć życie sparaliżowanej dziewczyny, która rusza tylko jedną ręką, jest przykuta do wózka i jest uśmiechnięta jak promień słońca.

Czy tam trzeba szukać sensu, może już nie o sens chodzi?

Oni znajdują prawdziwy sens życia.

A nie siłę przetrwania?

Nie, potrafią być szczęśliwi, potrafią kochać, spełniać marzenia, umieją się cieszyć z małych rzeczy. Mam rozmówcę, który umiera na huntingtona, ma 34 lata i jest skazany na śmierć. Wszystko wie o chorobie, że będzie powoli tracił mózg, już jest niestabilny, ale

ma pasję, fotografuje ptaki. Zapytałam: wiesz, na co jesteś chory, co cię czeka? Wiem. To jest tragiczna sytuacja, bo o czym będziemy teraz rozmawiać? A on mi na to: o każdej chwili życia, która jest po prostu piękna i warto dla tej sekundy żyć. Jak to mówię, brzmi to strasznie, jak to czytam – też, ale jak taki człowiek mi to mówi, to nie umiem tego pojąć, ale to jest prawda. Przestałam dzięki nim narzekać, daję sobie radę w sytuacjach ekstremalnych, bo wiem, z czym oni muszą sobie radzić. Uczę się od nich, a od ludzi niepełnosprawnych intelektualnie nauczyłam się najwięcej.

Bo?

Bo to są takie boże istoty, nieszczęśliwe, ograniczone, skazane na łaskę innych ludzi...

A może oni są właśnie wybrańcami?

Do tego dawno doszłam.



i złączyńcy



*My, aktorzy,
podpatrujemy ludzi
i siebie, jak zwierzęta.
To jest okrutne w tym
zawodzie, ale tak jest.
Ja na przykład, jak
morduję, to tak się
trzęsę...*

Bo nie mają tych zwojów, które my mamy, a które utrudniają nam życie.

I które nas tak okropnie unieszczęśliwiają, wiążą nas, jesteście zamknięci tym, że nie wypada, że nienawidzimy, że chcemy być tacy jak inni... Oni tego nie mają, coś czują, czegoś chcą, a jak się do nich przytulisz, to są najszczęśliwsi. Są mistrzami radości. Ktoś przed chwilą jeszcze płakał, ale zobaczył motyla, że tak piękny i leci, i się cieszy. Robię z nimi spektakle i jak kończą przedstawienie, schodząc ze sceny, pytają: „Dobrze, Ania, dobrze?”. Łapię się na tym, że też mam ochotę, kiedy schodzę ze sceny, zapytać Janka Klaty: „Janek, dobrze ci zagrałam?”. Bo mam w sobie wtedy taki ładunek emocji, że po premierze idę do toalety i tam płaczę. Dzięki nim przypomniałam sobie o odruchach, które w sobie zabijamy. W teatrze przebywam w świecie ludzi wyrafinowanych, zdolnych, inteligentnych, wrażliwych. Czasami jestem tym strasznie zmęczona, ale dopiero kontakt z moimi podopiecznymi mnie oczyszcza, ucłowiecza. Złapałam się na tym, że czuję się najlepiej w ich towarzystwie, bo tam już nie ma co udawać. Ale czasami jest coś takiego, że nie wytrzymuję i pękam...

I?

Ryczę jak głupia, a osoba niepełnosprawna mówi: „Ania, nie płacz, wszystko będzie dobrze”. I wtedy sobie myślę: Jezus, co za paranoja...

A chciała pani kiedyś, bo takie myśli często się myślały artystom, oszaleć?

Nigdy w życiu! Chyba nie ma większego nieszczęścia jak choroba psychiczna. Ludzie niepełnosprawni intelektualnie to jest co innego, to są trwałe uszkodzenia mózgu, oni są, jacy są, i inni nie będą, a choroba psychiczna to najgorsze zniewolenie na świecie.

A nie furtka do prawdziwej wolności?

Furtka byłaby tylko taka, że musielibyśmy ich zaakceptować, bo schizofrenia na przykład wtedy ustępuje. Schizofrenik musiałby się czuć szczęśliwy tu, na tym świecie, żeby to ta choroba nie dawała mu szczęścia. Jeden mój rozmówca z programu mówił mi, że „jak tylko ktoś mi sprawi tu przykrość, jak się tu źle czuję, tu... to schizofrenia puka i mówi: ej, u mnie jest lepiej”. I on w to wchodzi. Ci ludzie musieliby mieć pracę, musieliby być „tu” potrzebni, czuć to, musieliby być „tu” kochani, żeby schizofrenia im dała spokój.

Czy nie na tym polega oszalały artyst, żeby tworzyć świat, w którym da się żyć, i który jest lepszy od tego świata?

Tak, tylko że sztuka polega na tym, że to ja, twórca, nad tym panuję. My panujemy nad emocjami, nad oszalałym światem, który musimy stworzyć np. na scenie. To uwielbiam i w to wchodzi. Wczoraj grałam Klitajmestrę w „Orestei” Janka Klaty, a tam są takie

napięcia, takie szaleństwo, tam nie może wejść grzeczna Dymna i sobie zagrać. Trzeba zwariować na chwilę! Fascynujące w tym zawodzie jest to, że mogę mieć przez chwilę na scenie atak schizofreniczny nieomalże! A potem jadę samochodem, cudownie się czuję, znaltretowana, ze skrzepniętą krwią we włosach, zmęczona, bo już stara przecież jestem i kręgosłup mnie boli, a na scenie muszę podskakiwać, padać i łazić na czworakach jak trzeba, i w tym samochodzie jestem po prostu szczęśliwa... Nie mam siły ani na nienawiść, ani na jakieś głupie myśli, jakbym przeżyła najwspanialszą terapię, na scenie wyzwalam z siebie takie emocje, tak się oczyszczam!

To ma coś wspólnego z orgazmem?

To czasem dużo więcej, orgazm to jest chyba coś bardziej fizycznego, a tutaj psychicznego...

Ale na pewno coś podobnego jest w takim uwolnieniu, wszystkich mięśniach wygładzonych, rozluźnionych. Teraz dopiero doceniam zawód, kiedyś tak tego nie czułam.

Bo była pani tylko piękna i seksowna?

Ale to nie powinno przeszkadzać! Teraz jak cały dzień się zmagam i słucham o nieszczęściach, które naprawdę boją, to z radością o godz. 17 jadę do teatru, maluję się, żeby wejść na scenę. Na scenie muszę się skoncentrować, czyli zapomnieć o całym świecie.

I jak to pani robi?

Za każdym razem inaczej. Tylko skutek jest zawsze taki sam, że strasznie cierpię na kręgosłup, mam tam po prostu kamienie, nie mięśnie. W „Król umiera” gram na wózek inwalidzkim i cały czas jestem na scenie. I złapałam się na tym, że na scenie cały czas mam napięty każdy mięsień, nawet jak nie gram. Rozumiem, że to z powodu kręgosłupa ja siedzę w pani pokoju hotelowym, a pani leży na podłodze?

Tak.

Mięśnie muszą być cały czas napięte?

A jak w życiu pan by mi powiedział, że mnie nienawidzi, to się panu nie napną?!

Nie potrafiłbym tego powiedzieć, nie dotknęła mnie nienawiść.

A ma pan uczucie strachu? Co się wtedy z organizmem dzieje? My, aktorzy, podpatrujemy ludzi i siebie, jak zwierzęta. To jest okrutne w tym zawodzie, ale tak jest. Ja na przykład, jak morduję, to tak się trzęsę... A tego nie muszę wywoływać, bo jestem tak skoncentrowana, że to się samo dzieje.

Ale nigdy pani nie mordowała, nie może się pani odwołać do wspomnień.

Nigdy. Kiedyś robiłam spowiedź Raskolnikowa ze studentem i on usilnie chciał się ode mnie dowiedzieć, jak to jest, jak się kogoś morduje. Mówię mu: dziecko, ja ci tego nie wytłumaczę, wyobraźmy sobie, co możemy wtedy czuć, i przybliżmy to do twoich doświadczeń, nie można inaczej tego zrobić, przecież jak kogoś zamordujesz na Plantach, to ja do więzienia pójde!

Mówiła pani o rozmowie z chorym na płasawicę Huntingtona, któremu wszystko się wyłączało w mózgu.

Jest pani pewnie otoczona w Krakowie sporym gronem alkoholików, z którymi dzieje się to samo, tylko że wolniej. Próbuje im pani coś tłumaczyć, bo pani widziała, co będzie dalej?

Mam przyjaciół alkoholików i wstrząsające z nimi rozmowy, ale znam też takich straceńców, rozmawiam z nimi czasem na ulicy, ich nie usiłuję leczyć, bo już nie o to chodzi. Fantastyczni są niektórzy, wrażliwi, cudowni i mówią, że chcą być bezdomni i chcą tak żyć, bo są wolni.

Wierzy im pani?

Z takim jednym Piotrkim rozmawiałam, mówię: człowieku, za chwilę będziesz zniewolony wszystkimi chorobami, już masz padaczkę, za chwilę ci wysiadą nerki, za chwilę będziesz strzępem człowieka, już nie będziesz wolny! On tylko na mnie patrzył i mówił, że bym jednak dała na to piwo.

Może to my wybraliśmy złe życie, może ich życie jest lepsze, ku czemuś szaleńczo biegnie...

A dlaczego mamy opiniować, które życie ma sens? Na przykład w tym roku spełniło się moje największe marzenie.

Jak?

Wyjechałam do Afryki. Kiedy miałam cztery lata, ktoś przyniósł do domu czarno-biały album i tam było zdjęcie hipopotama. I całe życie, najpierw jako dziecko, potem jako pannenka, marzyłam o tym, żeby zobaczyć hipopotama na wolności. W tamtym roku źle się czułam i myślę sobie: Boże, a ja nie widziałam hipopotama na wolności, muszę coś zrobić, bo mogę już nigdy nie dojechać do tej Afryki!



Pojechałam i spełniły się wszystkie moje marzenia związane z hipopotamami, bo w rzece Marze kłębiły się i małe, i duże. Poznałam Masajów, przepięknych ludzi, którzy mają w oczach wolność, dumę, szczęście, są smukli, w purpurowych szatach. Zaprosili mnie do swoich domów, akurat padał deszcz, w błocie siedziały dzieci, zasmarkane, ledwośmy się tam zmieścili, smród obierek, mały ogienek płonął, w pierwszej chwili strasznie... Ale są szczęśliwi! To mnie nauczyło pokory, żeby nie opiniować, że jestem szczęśliwa, bogata, a ten, jakiś paproch ludzki, nie ma tego, co ja. To nie jest żadna miara szczęścia.

Może są różne szczęścia?

Oczywiście, że tak, i to jest fantastyczne. Dlatego trzeba jeździć po świecie i patrzeć na ludzi, i ich nie oceniać ani nie oceniać ich życia. Kiedyś jako dziecko byłam z grupą dzieci w Drogini, takiej wsi pod Krakowem, pod Myślenicami, i tam była taka babcia, która miała krowę Malinę, dom kryty strzechą. I nam, dzieciom z Krakowa, opowiadała niestworzone, przepiękne historie... Mówi: czy wiecie, że raz byłam w takim mieście, co się Kraków nazywa i tam jeżdżą nie samochody, tylko takie duże pojazdy na szynach, co się tramwaje nazywają. Opowiadała nam o tej przygodzie, była z tego powodu szczęśliwa! **Pani się nażyła?**

Nie dość, że się nażyłam, to jeszcze żyję! Czasem mi się wydaje, że żyję około 200 lat, a czasem, że dopiero zaczęłam żyć. A co najważniejsze – ciągle mi się okropnie mocno chce! I ciągle jeszcze jestem potrzebna, choć różnie to bywa, bo jak się ma 59 lat i się jest grubą kobietą, to różnie bywa w świecie, w którym potrzebne są wyłącznie piękne laski.

Czemu pani nie schudnie?

Bo nie mogę, przeszłam już wszystkie kuracje i jakoś nic. A nie będę duszy diabłu po kawałku sprzedawała! Mogłabym sobie coś wyciąć, podciąć, wyssać, ale ile musiałabym na to stracić energii i zdrowia. A w teatrze gram teraz w trzech przedstawieniach i w ogóle się nie liczy, czy mam 100 kilo, czy 50, czy 70.

A kiedy pani teraz patrzy na Anię Pawlaczkę, na królową Bonę...

O, jakie fajne, myślę... Taka byłam młodzieńka, szczuplutka i tak sobie biegałam, i mogę to dziś obejrzeć, szczęściara, bo są ludzie, którym młodość przeszła, a nie mogą siebie z wtedy zobaczyć. Co prawda trzeba mieć dosyć dużo dystansu do siebie, bo jak na przykład na ulicy słyszę: „Jezu, pani Dymna, ale się z panią porobiło, tylko głos z pani został”, to znaczy, że szedł świeży widz „Znachora”. Ludzie czasem mnie okropnie obrażają na ulicy.

Jak?

„Boże, ale pani gruba!” „Jak pani może tyle zreć!”



Ryczę jak głupia, a osoba niepełnosprawna mówi: „Ania, nie płacz, wszystko będzie dobrze”. I wtedy sobie myślę: Jezus, co za paranoja...

I co pani na to?

Mówię: przepraszam, pan mnie zna? No, przecież „Janosika” wczoraj oglądałem – mówi mi facet. Pytam, ile ma lat, on, że 21. To ja mu: dobrze, syneczku, to my się tutaj umówmy tak za 40 lat, zobaczymy, jak ty będziesz wyglądał, dziadu!

Powiedziała pani w jednym z wywiadów, że pani mama była dobra absurdalnie.

Co to znaczy?

Nie da się być dobrym dla wszystkich, czasami wydaje ci się, że robisz coś dobrego, a niesie to zło, a moja mama nie zawsze to widziała...

Nie da się skalkulować skutków własnego dobra.

Trzeba o tym myśleć. Mam to samo co ona. Fundację założyłam odruchowo, żeby ludzi ratować. Za komuny, kiedy byłam na fali, bo Radziwiłłówna, „Znachor”, Pawlaczka, spektakle, grałam sympatyczne role, więc dostawałam straszne ilości listów. To były listy o marzeniach. Jak się ludzie przestali bać, bo komuna padła, to zaczęli pisać mi o życiu, nieszczęściach i dużo było próśb o pomoc. Miotalam się, bo czasami dostawałam przerażające listy, myślałam: „muszę pomóc, idą święta. O, jak mnie boli, mam nadzieję, że to nerka, a nie kręgosłup, jestem kaleka, ledwo mogę nogami ruszać, rękami...

Może się pani sobą zaopiekuje?

Szkoda mi czasu.

Taką fundację ma pani, dla osób wymagających pomocy. Warto tam zadzwonić.

Nie, staram się być rozsądną osobą, bo jestem po wielu wypadkach i mam takie uszkodzenia, że lekarze nie wiedzą, co mi jest.

I te listy właściwie spowodowały...

Te listy pozwoliły mi zobaczyć, co to znaczy, jak się głupio pomaga, a tak wtedy pomagałam.

Czemu pani ich nie wyrzucała bez czytania?

Jak to?! Ktoś do ciebie pisze, no jak to wyrzucić? A jak ktoś umiera i pisze? Nie wyrzucam listów. Rodzice nas tak uczyli, że jak się ktoś wywróci, to się pochylasz i pytasz, co się stało. Kiedyś wychodziliśmy z Dymnym z Pikolaka, to był bar naprzeciwko Teatru Starego, chodziliśmy tam zawsze na śledzie, jak mieliśmy pieniądze. I pamiętam, wychodzimy, przed nami idzie pan i w pewnym momencie przewraca się do tyłu i wali głową w krawężnik z hukiem. Nachyliłam się i mówię: „Co się panu stało?”. A ten, łeb go zabolął, pijany był, ja tego nie zauważyłam i jak mnie złapał i krzyczy: „Ty ku..., cożes ty mi zrobiła!”. I Wiesiu mówi: „Aniu, proszę cię, zastanów się, zanim się pochylisz”. Dlatego teraz chcę być bardziej rozsądna, mam ten odruch, ale go zatrzymuję w połowie i zastanawiam się. I oczywiście zwykle pomagam.

Czasem się dostaje po głowie, bo ludzie, którzy naprawdę cierpią i są chorzy, są wymagający, są czasem egocentrykami. Bo jak dostajesz w dupę od rzeczywistości od świtu do nocy, o wszystko, co ci się należy, musisz walczyć, to jesteś czasem najeżony, wściekły, nienawidzisz! Ludzie mądrzy napisali, że jak kochasz, to nie możesz kochać po coś ani dla czegoś i nie możesz się niczego spodziewać. Kochasz, bo kochasz. Tak samo jest z pomaganiem. Jak pomagasz, to nie licz na wdzięczność, bo wtedy tego nie wytrzymasz i się załamiesz. Cały czas odpowiadam na pytanie: „Dlaczego to pani robi?” i nie mam odpowiedzi, która by ludzi zadowalała, bo sama nie wiem, dlaczego to robię.

A nie mogłaby pani przestać?

Nie, teraz już nie mogę, bo mam podopiecznych, nie można ich nagle opuścić, to jakbym dzieci opuściła. Więc po prostu bezczelnie wykorzystuję do pomagania i Anię Pawlaczkę, i to, że ludzie mnie kiedyś lubili. Dlaczego to ma iść w niwecz, bo się zestarzałam?

Dobroczyńcy to jest jakiś mały procent społeczeństwa, a reszta to są złoczyńcy?

Ależ skąd. Złoczyńców w ogóle nie znam, czasem są ludzie pogubieni. Mama mi zawsze mówiła, że nie ma złych ludzi, tylko są nieszczęśliwi. Najbardziej nienawidzę o tym mówić, bo to jakieś okropne słowa, że „jesteś dobroczyńcą, Matką Boską charytatywną”.

Jednak jest pani naszym chodzącym wyrzutem sumienia.

Właśnie mnie na takie gadanie szlag trafia! Wcale nie po to robię, żeby ktoś miał wyrzuty. A poza tym, jeżeli ktoś kiedykolwiek poczuł przeze mnie wyrzut sumienia, to niepotrzebnie. Lepiej, żeby pomógł sąsiadce zrobić zakupy na święta, to mu wyrzut przejdzie. Ktoś się do niego uśmiechnie i wszystko będzie dobrze. □